

„OBRAZ Z PIECZĄTKĄ”

(„Polityka” Nr 21, 27.05.1995)

Ze Zdzisławem Beksińskim rozmawia Marian Turski

Marian Turski: – Czytam w katalogu do pana najnowszej wystawy retrospektywnej (w Muzeum Archidiecezjalnym w Warszawie), że „jest w tym malarstwie i lęk, lęk przed śmiercią, na tyle stężały, że przestał już być krzykiem...”. Niemal w każdej recenzji z pana wystaw powtarza się ten: porażenie śmiercią, groza śmierci, Apokalipsa...

Zdzisław Beksiński: – wszyscy ludzie, jak wiadomo, interesują się problemem śmierci, więc ja się niczym nie różnię od innych. Tym się tylko różnię, że maluję obrazy, ale – w większości – są to po prostu obrazy, a nie wypowiedzi o charakterze ontologicznym. Znaleźli krytycy pieczętkę i tę pieczętkę przybijają do mojej osoby.

Czy śmieszą pana te oceny, czy też akceptuje je pan?

– Po części akceptuję, ale... nie w odniesieniu do każdego obrazu i nie do końca. Nawet jeżeli podtekst lub podłoże jakiegoś obrazu można objąć tematyką, nazwijmy tak, ostateczną, to tak wiele dobudowuję, domalowuję, że istota dzieła nie poddaje się werbalizacji. Obraz jest do oglądania, a nie do opowiadania.

W księdze pamiątkowej bardzo często znajduję wpisy, wydawałoby się, żenujące. „Fajne jest Pana malarstwo”, „Pan ma wielki talent”, „Ładnie Pan maluje...”. Dosłownie. Otóż gdy czytam takie uładowane uwagi o obrazach Beksińskiego, źle mi

się robi. Chociaż... sam Beksiński powiedział (jeśli wiernie go zacytowano): „To, co ja robię, to jest po prostu ładne malarstwo”. Więc pytam: czy malarz i jego odbiorcy taką samą kategorią obejmują jego twórczość?

– Nie sędzę, aczkolwiek prawdą jest, że zależy mi na namalowaniu ładnego obrazu, Nie zależy mi na wstrząsaniu kimkolwiek. Chcę wytworzyć określony nastrój, mnie bliski, ale – proszę mi wierzyć – nawet nie o tym myślę, żeby ten nastrój przekazać odbiorcy, lecz żeby namalować fajny obraz. Natomiast jeśli chodzi o wpisy...

Tak, wiem – bo znamy się od kilku dziesiątków lat – że nie zwraca pan na nie uwagi...

– Nie czytam ich, bo mnie drażnią. Ale organizatorzy każdej wystawy z dumą przynoszą księgę pamiątkową, na którą patrzę jak na zdechłego szczura, choć staram się tego nie okazać, by nikogo nie obrażać.

Czy podobnie traktuje pan krytyki i recenzje?

– Kiedy człowiek liczy już sobie 66 lat, a maluje od dłuższego czasu, to obojętniej na krytykę. Owszem, kiedy byłem młodszy, czekałem na każdą krytykę, choć nie sądzę, by była w stanie mnie inspirować, korygować lub ukierunkowywać. Oczywiście lubiłem czytać o sobie...

Chyba również mówić o sobie, bo można przeczytać wiele rozmów z panem, mimo że słyszałem od pana wielokrotnie, że nie lubi pan udzielać wywiadów.

– Też odróżniłbym „dawniej” od „dziś”. Dawniej przykładałem do nich dużą wagę, bo wydawało mi się, że będę mógł przekazać jakieś informacje na swój temat i zapobiec wadliwym interpretacjom moich obrazów. Teraz – brak mi cierpliwości.

Właściwie: co to znaczy fajny obraz, ładny obraz?

– Po prostu: dobrze namalowany.

Spróbujmy zrozumieć to na przykładach pana nie dotyczących.

– oto dwaj twórcy sobie współcześni: Rembrandt malował dobrze, a Hals – źle. Dla mnie ważny jest sposób położenia farby: odnoszę wrażenie, że u Halsa jest to kolorowa margaryna rozsmarowana pędzlem, natomiast jak pięknie Rembrandt kładzie farbę! Ja bardzo dużo pracuję też (a może przede wszystkim) nad tym, aby temu, co zostało namalowane, nadać formę charakterystyczną dla mnie. To znaczy próbuje zbudować pewną formę – i ciało ludzkie, i twarz, i pejzaż, i ewentualnie przestrzeń – zgodnie z nie dającymi się określić werbalnie kanonami, by można było rozpoznać, że to mój sposób malowania...

Ale właśnie zmienił Pan sposób malowania! W Muzeum Archidiecezjalnym obejrzałem znane mi na ogół wcześniej, lecz skonfrontowane ze sobą obrazy; różnica rzuca się w oczy. To z ostatniego okresu – nie chwale, nie ganię, tylko relacjonuję – wydają się bardziej ascetyczne, ale również bardziej dwuwymiarowe, jakby bardziej płaskie...

– Na pewno dlatego, że została z nich całkowicie wyeliminowana przestrzeń. Brak drugiego planu, światłocienia, i to światłocienia typu fotograficznego – jeżeli nawet rzecz była dziwna i nie mogła zdarzyć się w rzeczywistości, to była jednak namalowana tak, jakby ta dziwna rzecz stała w określonej przestrzeni, perspektywa była normalna, cienie własne prowadzone były w sposób konsekwentny i logiczny. Dzisiaj to wszystko uległo zmianie. Światło pada inaczej, przestrzeń jakby nie istnieje, bo pokrywa ją mglista faktura albo czysta biel i pozostaje głównie wypreparowana postać ludzka, najczęściej głowa, nad którą pracuję w sposób, jak mi się wydaje, rzeźbiarski

Mówił Pan przedtem, że próbuje pan wytworzyć określony klimat. Czy nie wydaje się panu, że obrazy z ostatnich lat utrudniają odbiorcy osiągnięcie pożądanego nastroju?

– Być może. Wiem, że obrazy z tego czasu mniej się ludziom podobają, aczkolwiek nie jestem pewien, czy w poprzednim okresie ludziom najbardziej się podobało to, na czym mnie zależało. Faktem jest, że dzisiaj zdarza mi się, że ktoś przychodzi do pracowni, ogląda gotowy obraz i pyta, czy już skończony...

Albo go nie rozumie, albo w tej formie pragnie zauważyć, że mu się nie podoba...

– Mój (do niedawna) marszand paryski, Piotr Dmochowski, rozpoczął współpracę ze mną właśnie w tym czasie, gdy we mnie dojrzywała potrzeba zmiany. On jednak chciał, bym mu namalował jeszcze serię – nazwijmy tak – w starym stylu. I ja mu odgrzałem pewną

liczbę kotletów z poprzedniego obiadu. Pomyślałem sobie: co mi to szkodzi, Paryż, kakaja głusz, kto mnie tam zna, nie będzie mówił, że się ciągle powtarza, i namalowałem statek unoszący się nad morzem w powietrzu, i temu podobne. Ale wnet powiedziałem: dość, będę malował tylko to, co chcę malować.

Czy był jakiś czas – w minionym ustroju – kiedy był pan prześladowany, kiedy miał pan kłopoty z ujawnieniem swojej twórczości?

– Nie, nigdy. Funkcjonowałem bez żadnych trudności. Chciałem być niezależny w każdym z okresów i dlatego otwarcie ostatniej wystawy z udziałem fioletów nie przypadło mi do gustu. Jak pan zapewne dostrzegł w transmisji telewizyjnej – nie brałem udziału w wernisażu. Udało mi się przeżyć poprzednich czterdzieści lat nie wiążąc się z PZPR-em, a tu nagle zostałem związany z Kościołem. Wierzą, że nikt tu nie manipulował. Był to zapewne zbieg przypadków, bo otwarcie wystawy przypadło na pięćdziesięciolecie zakończenia wojny, lecz wystawa została zaprojektowana już w 1992

roku. Ale tak się złożyło, że przyjechała wielce ważna osobliwość z Rzymu, działacze kościelni chcieli chyba udowodnić, że popierają sztukę współczesną i w ten sposób ja się okazałem malarzem popieranym przez Kościół. Widziałem to na kanale WOT – „Agnus Dei” Gabriela Faure, ksiądz prymas, biskupi, chóry anielskie – i to wszystko z moimi obrazami w tle! Napisałem już listy wyjaśniające do przyjaciół, którzy posądzili mnie o oportunizm i koniunkturalizm. Czy zrobiłem to „dla chleba”? – pytano mnie w liście.

We wspomnianym sprawozdaniu telewizyjnym ktoś zauważył, że przed wernisażem pojawiły się ponoć jakieś „wątpliwości natury teologicznej”...

– Nie znam szczegółów, ale ucieszyłem się, gdy to usłyszałem, ponieważ byłem – delikatnie mówiąc – zdziwiony, gdy przydano moim obrazom „aspekt religijny”.

Dziękuję za rozmowę.